

# KŁOPOT Z IRLANDIĄ

Aleksandra Rembowska

**Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera w Warszawie (Mała Scena):** *KALEKA Z INISHMAAN* Martina McDonagha. Przekład: Małgorzata Semil. Reżyseria: Agnieszka Glišńska i Władysław Kowalski, scenografia: Magda Maciejewska. Premiera 12 II 1999.

1998/99

Podobno teatralny sukces swoich utworów niespełna 30-letni Martin McDonagh zawdzięcza żywemu językowi, rytmicznym dialogom pisany z wycuciem efektu komicznego, umiejętności kreślenia barwnych postaci żyjących w dobrze rozpoznanych realiach irlandzkiej prowincji. Przy wszystkich niewątpliwych zaletach pisarstwa McDonagha lektura, a za nią także polska prapremiera dramatu *Kaleka z Inishmaan* w Teatrze Powszechnym pozostawiają pewien niedosyt. Wiąże się on z faktem, że to, co może uchodzić za walor autentyczności, oryginalnej budowy dramatu (ubogie słownictwo postaci, wulgaryzmy i przekleństwa, liczne powtórzenia w kwestiach i sytuacjach), można równie dobrze poczytać za mankament. W sztuce McDonagha aż roi się od nachalnej ilustracyjności w słowie, epatowania naturalizmem, a także sugestii w didaskaliach świadczących o wątplym pojęciu autora na temat inscenizacyjnych możliwości w teatrze. W pozornie nieskomplikowanej, a przez to, zdawałoby się, pojemnej w znaczenia i symbole historii porzuconego przez rodziców Billa-kaleki odnajdujemy dramatyczne mielizny. Prawda o jego życiu ujawniana jest w drugiej części sztuki po kilka razy, co prowadzi do niemal całkowitego jej "rozejścia się" i spadku napięcia. W przedstawieniu, pozbawionym silnej ręki reżysera, też ginie pożądany puls.

Kwestie, w których bohaterowie "stwarzają się" i w których dzieje się akcja, powracające niczym refren, po dwóch godzinach tracą nośność, zaczynają brzmieć jak truizmy. Tam, gdzie prostota na początku była zaletą, wdziera się rutyna i przesyt. Okrutny dowcip pointujący nawet najbardziej przejmującą wypowiedź najpierw rodzi wrażenie groteski, zaskakuje, dodaje wyrazu i jędrności pojawiającym się w historii typom, z czasem staje się do przewidzenia, nie wzbogaca już, a tylko odślania schematyczność postaw i sytuacji. "Odbijanie piłeczki" przypomina niektóre dialogi z amerykańskich *sitcomów*, w których każdą odpowiedź kończy głośny wybuch śmiechu nie istniejącej widowni, dochodzący z off-u. Tutaj, jak najbardziej realna publiczność również zdaje się rozbawiona do tego stopnia, że nawet gdy niewyrafinowany dowcip dotyczy samotności, choroby czy śmierci lub pada po raz kolejny, kwituje ową kwestię śmiechem, choćby w lekkim zażenowaniu lub wzajem-

nym tłumaczeniu sobie szeptem własnej nieopanowanej reakcji.

Świat irlandzkiej wyspy Inishmaan lat 30-ych naszego wieku, tęsknoty jej mieszkańców do wielkiego świata i zawirowanie, jakie wprowadza nagle amerykański reżyser, który chce nakręcić o nich film, ich marzenia o miłości, lęki i niespełnienia mogą wydać się polskiemu widzowi bliskie, choć chyba w gruncie rzeczy większą ciekawość wzbudziłoby życie ludzi współczesnej Irlandii. Język McDonagha niesie w sobie jeszcze jedno niebezpieczeństwo: skłania niekiedy aktorów do przerysowań postaci, skądinąd ciekawie wymyślonych. W *Kalece z Inishmaan* w reżyserii Agnieszki Glišńskiej i Władysława Kowalskiego tyczy się to np. współreżysera w roli nieznośnego nowinkarza Johnnypateenmike'a, który sprzedaje zasłyszane wiadomości za puszkę groszku lub kilka jajek. Wszystko w tej roli tworzone jest grubą kreską - nerwowe gesty, bełkotliwa mowa, przygarbiona sylwetka, niezgrabny krok. Inne role, choćby starej matki-alkoholiczki Johnny'ego (bardzo dobra w tym epizodzie Wiesława Mazurkiewicz) czy ciotek (Grażyna Marzec i Elżbieta Kępińska) przygarniętego Billa („drugi” - po *Opowieściach Lasku Wiedeńskiego* - udany debiut Łukasza Garlickiego) trudno może nazwać kreacjami, ale z pewnością łączą w sobie prawdziwość z lekkością, niepozorność z siłą wyrazu. Wizerunek surowych, raczej powściągliwych w uczuciach kobiet, wspólnie prowadzących ubogi sklepik na Inishmaan, dobrze kontrastuje z postacią bezczelnej, pyskatej i nie przebierającej w słowach Helen (dobra rola Edyty Olszówki), czy też jej brata - niezbyt rozgarniętego, poczciwego fajtlapy Bartleya (zaskakująco inna od dotychczasowych ról amantów rola Rafała Królikowskiego).

W częściowym uniknięciu wpisanych w dramat niezręczności sytuacyjnych czy dialogowych pomogły twórcom przedstawienia niewielkie skrót w tekście, a także efektownie zakomponowana scenografia Magdy Maciejewskiej, pomysłowo i skutecznie ograniczająca przestrzenne koncepcje McDonagha niemal do jednego miejsca. Wnętrze sklepiku, z kontuarem i rudo-brunatnym kredensem, otwiera się na plażę i łódź - tym samym ukazuje perspektywę innego życia i jednocześnie nierozzerwalną więź bohatera z przypisaną mu od urodzenia ziemią. Właśnie scenografia, chyba jako jedyny element przedstawienia, ma, poza funkcjonalnością, charakter poetycki i odślania głębszą myśl, wolną od konkretnej interpretacji.

Choć McDonagh nie jest "moim autorem", myślę, że pojawienie się w polskim teatrze jego kolejnej sztuki (po *Królowej piękności z Leenane* wystawionej w Teatrze Śląskim) może okazać się przyczynkiem do osobnej, bardziej ogólnej, a ważnej refleksji nad obecnością (modą?) dramaturgii irlandzkiej na naszych scenach w ostatnich latach.